

## Jak pies z kotem

Ja jestem psem, ale mój najlepszy przyjaciel jest kotem. Urodziłem się w schronisku dla zwierząt, tak samo jak on, chyba nawet tego samego dnia. Nie wiem, kiedy to dokładnie było, ale pamiętam, że na zewnątrz padał wtedy śnieg. Na początku wystarczała mi zabawa z moimi czterema braćmi i dwiema siostrami, ale później trochę mi się to znudziło. Coś innego interesowało mnie znacznie bardziej - rodzina kotów, która mieszkała w klatce obok. Ich było tylko pięcioro. Jeden z nich, jedyny czarny wśród pozostałych – prądkowanych, często podchodził do siatki. Ja robiłem wtedy to samo. Najpierw nie wiedziałem, co to za dziwne stworzenie. Postawiłem hipotezę, że to może być pies, tak jak my, ale przekonałem się, że on pachnie zupełnie inaczej. Bardzo chciałem się do niego przedostać. Szukałem więc miejsca, gdzie kończy się siatka, lecz okazało się, że ona nie kończy się nigdzie... Przeskoczyć też się nie dało, była za wysoka. W końcu spróbowałem ją trochę poszarpać, ale wtedy przyszła pani, która rozdaje karmę i odciągnęła mnie od ogrodzenia. Spotkaliśmy się dopiero wtedy, kiedy pierwszy raz pozwolono nam wyjść na zewnątrz.

Po naszej lewej stronie mieszka pies. Jest tak energiczny, że aż mnie przeraża, ale mimo to bardzo go lubię. Futro ma dużo jaśniejsze od mojego, tak jak inne psy w jego klatce. Intrygował mnie ten nowy gatunek zwierzęcia, więc chciałem go dokładniej zbadać, ale nie dało się przejść, bo oddzielała nas metalowa siatka. Nie próbowałem jej zrywać (gdzieżbym dał radę...), ale on – owszem, ale wtedy dostał burę od pani rozdającej jedzenie. Ludzie, którzy pracowali w schronisku patrzyli, jak pies uparcie wyskakuje na siatkę.

- Popatrz, jak oni dobrze się razem bawią – powiedział jeden z nich. - Może wypuścimy ich na zewnątrz?  
- Hmm... To trochę ryzykowne. To w końcu pies, nie wiemy jak zareaguje.

Nie rozumiałem z tego ani słowa, ale w końcu stanęło na tym, że możemy pobawić się razem w zagrodzie.

Pierwszy raz w moim krótkim życiu wyszedłem na zewnątrz. Było zupełnie inaczej niż w klatce – wiał wiatr, świeciło słońce, a pod łapami ugięła mi się miękka, zielona trawa. Wytarzałem się w niej kilka razy, a następnie udałem się w kierunku kota, który również został wypuszczony za siatkę. Nie bał się mnie, albo przynajmniej udawał, że się nie boi. Podszedłem do niego wolno i upewniłem się, że to zdecydowanie nie jest pies. Chciałem się z nim pobawić, ale on chyba bawi się inaczej niż my. Wziąłem w zęby małą piłeczkę, którą dała mi kiedyś pani od jedzenia. Turlałem ją chwilę, przyglądając się uważnie kotu. Pomyślałem, że już musiał zrozumieć, o co w tym chodzi, zatem trąciłem piłkę nosem w jego kierunku. Najpierw odskoczył wystraszony, zaraz jednak wrócił i obwąchał dokładnie piłkę, sprawdzając, czy aby nie stanowi zagrożenia. Parę minut później bawiliśmy się piłką w najlepsze, a panie pracujące w schronisku przyglądały się nam, kręcąc w zdumieniu głowami.

Wahałem się chwilę, ale w końcu wyszedłem z klatki. Pies już tam był i tarzał się w trawie. Wyglądało to kusząco, lecz taka zabawa nie leży w naturze kotów; zczekałem więc, aż skończy. Nie trwało to długo. Pies za chwilę do mnie podszedł, ale po paru sekundach jakby się rozmyślił i zaczął turlać jakąś małą piłeczkę. Kiedy przyturlał ją do mnie, odrobinę się wystraszyłem i odskoczyłem do tyłu, jeżąc futerko. Pies postanowił jednak udowodnić mi, że można się nią bawić, więc trochę ją do siebie nawzajem poturlaliśmy. Panie w schronisku rozmawiały ze sobą w tym czasie:

- Kto by pomyślał? Pies i kot tak świetnie się dogadują...

- To niesamowite, prawda?

- Tak, nikt się chyba tego nie spodziewał.

Z czasem przekonałem się, że zabawa z psem jest najciekawszym (zaraz po obiedzie) zajęciem w schronisku. Ja zaufałem jemu, a on mnie. Kiedy podrosliśmy, pani rozdzieliła nas z naszymi rodzinami, ale na szczęście dostaliśmy sąsiednie klatki. W nocy spaliśmy przytuleni do siebie przez siatkę, zaś za dnia bawiliśmy się na wybiegu, kiedy tylko pozwalała na to pogoda. Minęły dwa lata. Pies wyrósł na duże zwierzę podobne do golden retrievera (tak mówiono, choć nie wiedzieliśmy, co to znaczy), a ja... Cóż, niewiele się zmieniłem. Po jakimś czasie pozwolono nam – ku naszej ogromnej radości - zamieszkać w jednej klatce. Wtedy mogliśmy spędzać ze sobą cały czas.

Niestety, wszystko co dobre, musi mieć swój koniec.

To był piękny dzień, wszystko wskazywało na to, że znów cały czas będę mógł bawić się z kotem piłką. Zgodnie z utrwalonym zwyczajem, wcześniej rano obudziłem kota, który drzemał smacznie oparty o mnie i wyszliśmy na zewnątrz (teraz pani zostawiała nam otwartą furtkę) poturlać naszą piłkę. Kiedy zawołano nas na obiad, zmęczeni powlekliśmy się do klatki i ze smakiem spałaszowaliśmy swoje porcje. Już mieliśmy wracać do ogrodu, gdy dwoje ludzi zjawilo się w schronisku. Nie było to takie dziwne, bo często ktoś tu przychodził, aby zabrać jakiegoś psa albo kota. Dla przykładu, pewna rodzina z trójką dzieci zabrała moją siostrę, a starszy pan - mojego brata. Jedną z siostr kota też chyba zabrano („zaadoptowano” - tak mówiły panie).

Chcieliśmy już wracać do zabawy, lecz wiedzieliśmy, że kiedy ktoś przychodzi, trzeba siedzieć grzecznie w swoich klatkach i czekać, aż sobie pójdą, zatem czekaliśmy z kotem cierpliwie. Pan i pani oglądali różne psy. Zatrzymali się obok naszej klatki, po czym zaczęli rozmawiać z panią od jedzenia.

- Śliczny pies. Jak się wabi?

- Proszę pana, mamy tyle różnych zwierząt, że nie nadążamy z wymyślaniem imion dla wszystkich. Może pan sam nadać mu imię, jeśli się pan zdecyduje.

- Hmm... Ile on ma lat?

- Muszę to sprawdzić, ale wydaje mi się, że urodził się jakieś pół roku temu.

- Nie jest agresywny w stosunku do dzieci? Wie pani, szukamy psa na urodziny dwunastoletniej córki.

- Myślę, że nadaje się idealnie. Nie skacze na ludzi, jest radosny i uwielbia się bawić.

- Skoro tak, to myślę, że go zaadoptujemy.

- Martynka będzie zadowolona – przyłączyła się pani, która przysłała razem z panem.

- Świetny wybór. Przyjadą po niego państwo później, czy od razu go wezmą?

- Mammy ze sobą transporterek, więc jeśli tylko to nie problem, podpiszemy dokumenty i weźmiemy go teraz.

To wszystko stało się bardzo szybko. Ludzie przypięli mi niebieską smycz i kazali mi wskoczyć do samochodu. Myślałem, że jadę do weterynarza. Pani od jedzenia pogłaskała mnie, drzwi pojazdu się zamknęły i zaczęliśmy powoli oddalać się od schroniska... Nie rozumiałem, o co chodzi. Za sobą słyszałem jedynie żalosne piski kota.

Zabrali psa, a przecież nie dokończyliśmy zabawy! Dokąd on pojechał? Dlaczego mnie nie zabrali? Stałem przy siatce i patrzyłem, jak żegna mnie smutnym, przestraszonym wzrokiem. Chciałem być teraz tam, gdzie on. Chciałem się z nim dalej bawić naszą piłką. Chciałem, żeby ci ludzie zabrali innego psa, a nie mojego przyjaciela! Uspokoiłem się trochę, kiedy pomyślałem, że on na pewno zaraz wróci. Przecież nie mógł pojechać na zawsze. Wpatrywałem się więc cierpliwie w miejsce, gdzie ostatni raz zobaczyłem psa.

Czekałem.

Wyskoczyłem z samochodu. Tutaj pachniało zupełnie inaczej niż w schronisku. Kiedy napiłem się wody i doszedłem do siebie po podróży, zacząłem szukać kota, nigdzie go jednak nie było. To mi się bardzo nie podobało, więc pisałem nerwowo, a następnie spróbowałem przeskoczyć płot, jednak, podobnie jak w schronisku, okazał się za wysoki. Wtedy podeszło do mnie dziecko.

- Jaki on słodki! Jest dla mnie, mamo?

- Tak, to twój prezent na urodziny – odpowiedziała pani.

- Naprawdę?! A jak on się nazywa?

- Możesz sama nadać mu imię.

- Dobrze, będzie się nazywał Toby.

Po chwili do rozmowy przyłączył się mały chłopczyk.

- Piesek! - krzyczał. Podeszedł do mnie i pociągnął mnie za ucho. Tego już było trochę za wiele. Wyrwałem panu smycz, za którą dalej mnie trzymał i podbiegłem wystraszony do płotu. Wspiąłem się na niego łapami, licząc, że ten ustąpi, a wtedy będę mógł stąd odejść. Pani jednak zaraz mnie złapała.

W nocy wcale nie spałem. Nie było obok mnie kota. Byłem sam, samiuteńki w ciemnym garażu. Rano trochę sobie pobiegałem i oznaczyłem teren. Później pani dała mi karmę, ale była inna niż ta, którą zawsze jadałem w schronisku. Następnie pan poszedł ze mną na krótki spacer. To mi się spodobało, ponieważ dotąd nikt nie zabierał mnie na spacer. Ogród był tu bardzo duży, jedzenie pyszne, a czasem nawet wpuszczali mnie na kanapę. Czy nie powinienem czuć się szczęśliwy? Pewnie tak, ale nie potrafiłem - przecież tutaj nie było kota...

Minęło kilka tygodni, a pies nie wracał. W nocy spałem sam, a czasem wcale nie udawało mi się zasnąć. Za dnia nie wychodziłem na zewnątrz z innymi kotami, tylko leżałem w klatce. Straciłem chęć do jedzenia. Panie w schronisku martwiły się o mnie.

- Ten kot nic nie jadł już od czterech dni... Spójrz, dzisiaj też nie tknął karmy.
- Może powinniśmy zaprowadzić go do weterynarza?
- Tak, masz rację, pojedę z nim po południu.

No więc pojechałem. Weterynarz powiedział, że będę dostawał jedzenie przez strzykawkę. Panie miały mnie obserwować. Było mi wszystko jedno.

Coraz częściej zabierano mnie w tamto miejsce. Za każdym razem pan dawał mi zastrzyk, a później kręcił głową z niepokojem. Wciąż nie chciałem jeść. Cały czas zastanawiałem się, gdzie może być teraz pies. Co robi? Myśli o mnie, czy zapomniał, jak bawiliśmy się razem piłką?

U nowych właścicieli było w porządku, ale ciągle myślałem o kocie; o tym, jak razem bawiliśmy się piłką i jak nocą spaliśmy przytuleni do siebie. Kiedy zasypiałem, przypominałem sobie, jak pierwszy raz wypuszczono nas na zewnątrz. Kot i ja turlaliśmy do siebie piłkę, a kiedy ona za którymś razem za szybko się potoczyła, wtedy on tak śmiesznie podskakiwał... Zastanawiałem się, czy by nie sprawdzić, co on teraz robi. Odwiedziłbym go tylko w schronisku, zobaczyłbym, czy nie dzieje mu się jakaś krzywda, czy o mnie nie zapomniał...

Na jednym ze spacerów nadarzyła się okazja: pan zagadał się przez telefon, a wtedy ja szarpnąłem mocniej smycz i wyrwałem ją z jego rąk. Popędziłem drogą, którą przyjechaliśmy miesiąc temu. Słyszałem tylko, jak właściciel krzyczy za mną, jednak nie miałem zamiaru wracać. Nie teraz. Najpierw musiałem coś sprawdzić.

Do weterynarza jeździłem już codziennie. On dalej kręcił głową i podawał mi coraz to nowe leki. A ja po prostu leżałem w klatce, bo nie miałem już siły podejść do siatki, żeby popatrzeć na drogę, którą odjechał mój pies.

Droga była krótsza, niż się spodziewałem. Psy zawsze zapamiętują drogę do domu, dlatego łatwo odnalazłem schronisko. Biegłem pół dnia i jedną noc bez przerwy. Byłem już porządnie zmęczony, kiedy wyrósł przede mną dach znajomego budynku. Potrąciłem w drzwiach panią od jedzenia i pognałem do naszej dawnej klatki.

- Hej! To przecież... Co ty tu robisz?! - aż jej głos odebrało, gdy mnie zobaczyła. Nie zwracałem na to uwagi, tylko gorączkowo szukałem kota. Zobaczyłem go jeszcze zanim on dostrzegł mnie. Podbiegłem i zacząłem wylizywać mu futerko, ujadając radośnie.

Gdy ujrzałem psa pędzącego w moją stronę, nagle wróciła mi chęć do życia. Znow miałem ochotę na jedzenie i czułem się świetnie! Parę minut później przyjechali ci państwo, którzy kiedyś zabrali psa. Kiedy jednak próbowali złapać go za obroź, pies niespodziewanie zawarczał, alarmując, że tym razem nie pozwoli się stąd ruszyć.

- Jak on zdołał dotrzeć tutaj przez jedną noc? - zastanawiali się.
- Wygląda na to, że tęsknił za nim - odparła pani wskazując na kota, który nawet na centymetr nie odstępował od nóg psa.
- To niesamowite, że aż tak się polubili. Nie mogą bez siebie wytrzymać! Wyobraźcie sobie, że ten kot przez cały ten czas nic nie jadł, tylko leżał w klatce. Jeszcze kilka dni i zagłodziłby się na śmierć!
- No cóż... W takim razie chyba trzeba będzie zabrać do domu także i jego - pan uśmiechnął się, a ja, na znak, że się z nim zgadzam, zamerdałem wesoło ogonem.

Farfalla, junior